

ODPOCZNIJ OD INTERNETU



MUZYKA FILM SZTUKA

Presto

✂ wytnij sobie zakładkę

TEMAT NUMERU:

MĘŻCZYZNA

art. Anastazja Pazura

#46 WIOSNA 2025
25,00 zł (w tym 8% VAT)
ISSN 2084-3348
PrestoPortal.pl



9 772084 334500



Agnieszka Kotulanka. Aktorka cud

dr Grzegorz Ćwiertniewicz | historyk filmu i teatru polskiego po 1945 roku

Kiedy ćwierć wieku temu Agnieszka Kotulanka została nominowana do „Telekamery” w kategorii „najlepsza aktorka”, dziennikarz, który zadzwonił do niej, by poinformować o tym wyróżnieniu, zapytał, jak czuje się jako gwiazda. Miała odpowiedzieć, że właśnie siedzi na taborecie w kuchni, w jednej ręce trzyma słuchawkę, a drugą obiera jajka, bo przygotowuje sałatkę.

Miała również zapytać z uśmiechem, czy tak zachowuje się gwiazda. Ta sytuacja najlepiej pokazuje, jaki był stosunek Kotulanki do jej aktorstwa. Doskonale rozumiała, że nazbyt często szafuje się tym określeniem, nadając blask osobom, które swoją działalnością zawodową wcale na niego nie zasłużyły. Myślę tu przede wszystkim o przypadkowych ludziach (pseudoaktorach), którym udało się wystąpić w jednym czy dwóch serialach, a ich obecność przypadła widzom do gustu nie dlatego, że wykazali się ogromnym zawodowym profesjonalizmem, ale że byli blisko ich spraw. W serialu odgrywa się życie, więc można być naturalnym i niekoniecznie posiadać aktorski warsztat. Sprawdzianem dla prawdziwego aktora jest teatr, kiedy trzeba korzystać z fachowego zaplecza. Dziś o tych pojedynczych serialowych rolach nikt nie pamięta, a celebryci bez aktorskiego szlif odeszli w niepamięć, choć ktoś wcześniej zdążył przypisać im status gwiazdy.

Kotulanka, mając świadomość, jak trudnym i wymagającym jest zawód aktora, jakimi bywa okupiony wyrzeczeniami i jak niestata potrafi być sława, umiała zdystansować się wobec górnolotnych określeń, które dziś może i znaczą dużo, ale nazajutrz już nic. Doświadczyła przewrotności tego zawodu po powrocie z emigracji. Wyjeżdżała do Kanady u schyłku lat osiemdziesiątych jako rozpoznawalna aktorka, z udanym debiutem w roli Lotty w spektaklu Teatru Telewizji „Śmierć komiwojażera” w reż. Kazimierza Karabasza, rolą w serialu „Dom” i szeregiem innych osiągnięć (dziewięć innych spektakli telewizyjnych, kilka fil-

mów, trzynaście spektakli w teatrze repertuarowym), a na początku lat dziewięćdziesiątych powróciła zapomniana, niedostrzegana przez reżyserów, bez szans na etat w teatrze. Wystarczyły dwa lata nieobecności. Żeby przeżyć, dziergała i sprzedawała swetry. Była już po rozwodzie. Musiała zapewnić byt swoim dzieciom. A pamiętajmy – była zawodową aktorką, z niemałym już wówczas dorobkiem. Po trzech latach otrzymała propozycję z Teatru Powszechnego w Warszawie, by zagrać gościnnie Carol Melkett w „Czarnej komedii” w reż. Marka Sikory. Gościnnie występowała później również w teatrach: Dramatycznym, Komedia (najczęściej) i Kwadrat. Nie były to w żadnym razie propozycje adekwatne do jej aktorskich umiejętności. Zaczęły się także pojawiać możliwości grania w spektaklach telewizyjnych. W konsekwencji zaangażowano ją ponad trzydzieści razy (zarówno przed emigracją, jak i po powrocie). Twórcy telewizyjni na pewno nie stracili, a wręcz zyskali. Każdą kreacją bowiem podnosiła artystyczny poziom widowiska. Tak czy inaczej, refleksja jest gorzka – reżyserskie środowisko nie wykorzystało w pełni jej potencjału, a dyrektorzy teatrów nie stanęli na wysokości zadania, by zaangażować aktorkę o tak rozbudowanej gamie środków i wyróżniającym się talencie. Nie stworzyli jej możliwości, by mogła kroczyć ku wybitności.

„Klan” w pewnym sensie to dla Kotulanki wybawienie, choć w pierwszej chwili podeszła do propozycji z rezerwą. „Telekamerę” otrzymała już po dwóch latach. Konkurencja była silna. Czytelnicy mogli głosować również na inne znakomite aktorki: Annę Dymną, Krystynę Jandę, Edytę Olszówkę i Grażynę Szapołowską. Najlepszym aktorem został wówczas Tomasz Stokinger, zaś serialem – „Klan”. Telenowela święciła tryumfy, ponieważ z jednej strony jej fabuła została pomyślana tak, by mogli zidentyfikować się z nią widzowie o różnym statusie społecznym, z drugiej – była może jedną z trzech emitowanych w telewizji publicznej, a więc i wybór nie był największy. Kotulanka

przez wiele lat grała Krystynę Lubicz – elegancką, inteligentną wykładowczynię slawistyki, żonę lekarza (Stockingera właśnie) i matkę dwóch córek. Ciepła, przyjazna, rozumiejąca, opanowana, życzliwa, rodzinna. Te cechy musiały spotkać się z aprobatą widzów, którzy naprawdę pokochali tę serialową postać. Kotulanka traktowała tę pracę serio, tak jak i poważnie podchodziła do wielbicieli swojej bohaterki, a ja napiszę więcej – swojego talentu. Na planie była jednak trochę inną osobą niż w serialowym życiu. Kilko aktorów opowiedziało mi, że w zawodzie nie jawiła się za bardzo jako towarzyska. Wręcz przeciwnie. Raczej stroniła od kontaktów, nie nawiązywała przyjaźni. Pojawiała się na planie jedynie po to, by zrealizować należące do niej zadania aktorskie. Trudno było nawiązać z nią spontaniczną rozmowę. Miała bardzo silny charakter, bywała uparta. Niektórzy mówili, że zamknięta w sobie, inna, że dziwna. Liczyły się tylko kwestie zawodowe, prywatność była jakąś tajemnicą. Stąd też serialowi partnerzy dużo mogliby powiedzieć o relacjach w pracy, a o tych osobistych – niewiele. Choć to być może duże uogólnienie, pozwala spojrzeć na Kotulankę z nieco innej perspektywy, wcale nie z tej złej. Była osobna. Ta osobność była źródłem jej dramatyczności i wynikała z ogromnej wrażliwości. Zdaje się, że prywatnie wołała, jak mówiło się do niej w „romantycznej walucie”, a więc przeciwnie, niż jak śpiewała słowami Agnieszki Osieckiej w „Miasteczku cud”. Liczyła po cichu, że ktoś da jej „abonament do szczęścia, że skruszy ciała jej lód”. Zawodowo – „bardziej praktycznie”. Uważała, że najbardziej względem niej skuteczna jest metoda kija i marchewki. Swoją drogą wykonanie „Miasteczka” wciąż zasługuje na podziw, a interpretacja refrenu na nieustającą burzę oklasków. Musiała tym występem podbić serca miłośników Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu (2001). Z jednej strony wywołuje nim uśmiech, z drugiej – wzruszenie. I tęsknotę – za nią. „Klan” przywrócił aktorce popularność i rozpoznawalność, ale pod żadnym pozorem nie można jej dorobku sprowadzić do roli Krystyny. Tak myśleć mogą o niej jedynie ci, którzy swój kontakt z kulturą ograniczają do oglądania seriali i którzy nie potrafią oddzielić postaci fikcyjnej od żywego aktora. Dla nich Agnieszka Kotulanka i Krystyna Lubicz to jedno. A dla wielu ludzi teatru i filmu Kotulanka to aktorka dramatyczna, z niemałym zacięciem kabaretowym. Przecież „Truskawki w Milanówku” napisane przez Wojciecha Młynarskiego, a wykonane przez nią w kabarecie „Dudek” Edwarda Dziemońskiego, to prawdziwy majstersztyk, ukazujący jej anielskość i potwierdzający bliski jej sposób wypowiedzi muzycznej.

Agnieszka Kotulanka. Niezwykła. Nierzeczywista. Tajemnicza. Tą tajemniczością oczaruje swojego późniejszego męża Jacka Sas-Uhrynowskiego, aktora, który porzuci dla niej dość rozrywkowe życie. On pokocha jej nieśmiałość, ona będzie miała u boku kogoś zdecydowanego, wymagającego, egzekwującego, kto pomoże jej w przewyciężaniu lęków, wahań, a czasem również hysterii. Agnieszka zdawała się pochodzić z zupełnie innego świata, w którym zamiast po ziemi, stąpa się po chmurach, w którym wierzy się nawiennie, że dobro zawsze zwycięża zło, świata, w którym rozmawia się sentymentalnymi piosenkami, a kąpiele zażywa w morzu melancholii, po której siada się na brzegu z kieliszkiem cichych łez.

Agnieszka Kotulanka. Magiczna. Romantyczna. We właściwym tego słowa znaczeniu. Fascynująca, bo nieuchwytna, bo pozwalająca patrzeć na siebie jedynie przez szybę. Wyciągnięcie ręki w jej stronę mogłoby spowodować, że nagle zniknie, że rozptynie się w powietrzu jak jakaś fantastyczna istota z czarowanego ogrodu. Odeszła niedopowiedziana. Nie dokończyła życia. Nie zdążyła ukazać w pełni swojej wybitności. Tak, wybitności. Postrzegamy ją dziś jako aktorkę bardzo sprawnie korzystającą ze swoich predyspozycji, ale nie jako wybitną, bo nie złożyło się, by mogła tę swoją nadzwyczajność wyeksponować. Odeszła naznaczona tragizmem. Zbyt krucha i słaba, by poradzić sobie z konfliktem wewnętrznym, który stał się jej niebezpiecznym wrogiem. To efekt wrażliwości, czy nawet nadwrażliwości. Tego zawodu nie wybierając raczej ludzie gruboskórni, choć późniejsze życie zawodowe pokazuje, że ta gruba skóra się przydaje. Dla wielu aktorstwo to coś w rodzaju ucieczki czy może kryjówki lub – jak kto woli – zastony dymnej. W przypadku Kotulanki to ostatnie można potraktować również dosłownie. Uciekła do magicznego aktorskiego świata od wojskowego drylu. Jej ojciec, Józef Kotuła, był podpułkownikiem Wojska Polskiego. Wspomniata czasem, że jej życie toczyło się według wojskowego rytmu. Już w młodości musiała zmagać się z demonami – ojciec nie stronił od alkoholu, przez co sytuacja domowa bywała napięta. Co ciekawe, artystka dwukrotnie wystąpi w filmach wojennych. Najpierw w „Wielkim wozie” Marka Wortmana (1987), opowiadającym o grupie więźniów, podejmującej desperacką próbę ucieczki z obozu Murnau. Zagra żonę porucznika Karola (Mieczysława Hryniewicza), jednego z tych, którzy kopali podziemny tunel, by wydostać się z obozu jenieckiego. A w „Wielkim Tygodniu” Andrzeja Wajdy (1995) wcieli się w rolę majorowej Karskiej. Akcja obu filmów rozgrywa się w czasie drugiej wojny

światowej. W pierwszym pojawi się w małym epizodzie – jako tęskniąca żona – zaledwie w kilkunastu sekundach nakreśli dramatyzm swojej bohaterki – kobiety zmęczonej czekaniem na powrót męża – zagra spojrzeniem, wyrazem twarzy i subtelnym głosem. W drugim jej rola nie będzie rozbudowana, ale bardzo wyraźnie zaznaczy nią swoją obecność w filmie – zbuduje postać bardzo podobnymi środkami. W tym miejscu warto zaznaczyć, że zagrała w sumie w pięciu filmach pełnometrażowych i czterech serialach.

Agnieszka Kotulanka ukończyła Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie w roku 1980. Rok później uzyskała dyplom. W czasach studenckich była „chodzącą radością”, do tego bardzo utalentowaną. Wspomina się ją jako koleżankę obdarzoną poczuciem humoru i zarażającą śmiechem. Studiowała z Agnieszką Fatygą, Marią Pakulnis (z nią była najbliższą), Dorotą Kwiatkowską, Michałem Bajorem czy Krzysztofem Tyńcem. Łączyły ich, a niektórych wciąż łączą, niebywałe umiejętności wokalne. Od samego początku aktorskie predyspozycje tych wówczas młodych ludzi dostrzegane były przez krytykę – za „Wacława dzieje” w reż. Marka Grzebińskiego otrzymali wiele słów uznania. Nie inaczej było w przypadku „Hamleta i Hamleta” tego samego reżysera. Grzegorz Sinko dokonał w „Teatrze” oceny poszczególnych młodych aktorów. O Kotulance napisał tak: „Ofelia to normalna, nawet przeciętna dziewczyna, która żartobliwie i w ten bezproblemowy sposób odbiera dobre rady brata w materii powściągliwości. Wplątana w dworską aferę kontrwywiadowczą i użyta do celów prowokacji popada w obłęd; aktorka gra najprostszymi raport o całej tej sprawie”. Na rolę młodej Agnieszki zwróciła również uwagę Jadwiga Ślipińska, tak pisząc w „Głosie Pomorza”: „Jest prościutka, zakochana, ciepła, wzruszająca w scenie obłędu, albo w scenie rozpacz po tragicznej śmierci ojca i utracie kochanka. Dawno nie widziałam tak pięknie zagranej roli Ofelii, postaci niewątpliwie trudnej i budzącej kontrowersyjne sądy”. W 1981 roku aktorka związała się na osiem lat z Teatrem Współczesnym w Warszawie. Zagrała w „Pastorałce” Leona Schillera w reż. Macieja Englerta.

Kotulance można byłoby domalować pod okiem czarnej tęcz Pierrota, oddającą, a może dopełniającą jej liryzm. Miała też w sobie coś z Chaplina. Ten liryzm to znak rozpoznawczy Kotulanki. Zakłęty był w jej oczach – dużych, lśniących, głębokich, zdradzających zachwyt i euforię, ale jednocześnie smutnych, krzyczących, skrywających tajemnice i tęskniących. Również za spełnieniem. Gdyby kariera Kotulanki

przypadła na czasy dwudziestolecia międzywojennego, byłaby królową literackich kabaretów. Scena wokalna była dla niej miejscem idealnym. Z piosenkami radziła sobie wybitnie. O dwóch, którymi na trwałe wryła się w naszą pamięć jako interpretatorka poezji śpiewanej, napisałem już wyżej. Wspomnieć należy również o „Juracie’34” czy „Walcu minutowym”. Jej głos był jasny, bardzo naturalny, giętki, o bardzo dużej skali i miłej barwie. Głos śpiewany wysnuty ze słowa mówionego. Chętniej zapędzała się w górę niż w dół i widać było, że nie sprawiało jej to żadnych trudności. Śpiewała naturalnie, a do tego z bardzo dobrą dykcją. Nie stroniła również od telewizyjnych widowisk estradowych. „Panna Mania” Mariana Hemara kojarzy się od czasu wykonania przez Kotulankę tego utworu już nie tylko z Barbarą Rylską. W jednej z piosenek do słów Agnieszki Osieckiej i Marka Lusztiga „Zabawa w Sielance”, wykonywanej w duecie z Tomaszem Stockingerem, śpiewała entuzjastycznie: „Mańki nie ma, bo umarła,/ My żyjemy – jeszcze ćwierć!/ Rozmarzona personalna/Zakochała się na śmierć”. Było to, rzeczywiście, ćwierć wieku temu. Zabrakło siedmiu lat, bo dokładnie tyle lat temu odeszła. Nie ma jej i jest. Wystarczy postuchać, obejrzeć. Takie aktorki nie odchodzą na zawsze. Dryfują na obłokach. Żeby je zobaczyć, trzeba unieść głowę. Reszta to już sprawa wyobraźni...

